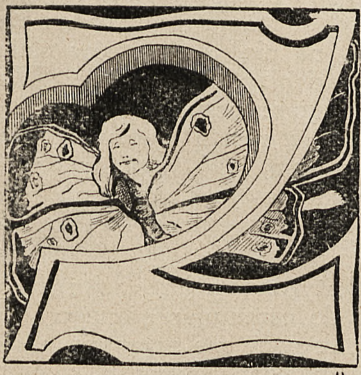


ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

OD REDAKCYI.



Zamykamy drugi rocznik naszego pisma. Nie bez uczucia dużego zadowolenia patrzymy na nagromadzony dotychczas dorobek myślowy. Korzystaliśmy z współpracownictwa poważnego zastępu pisarzy, od piór najtęższych w Polsce do skromnych, a rzetelnych. Służyliśmy nie jednostkom, lecz kierunkowi ideowemu, odpowiadającemu dążeniom nowoczesnej myśli polskiej we wszelkich dziedzinach życia zbiorowego.

W dziedzinie politycznej podkreślaliśmy potrzebę polskiej polityki państwowej i ideę niepodległości. Sądzimy bowiem, że samo hasło pracy organicznej, bez oparcia jej o najwyższe dla Polaka nakazy moralne, byłoby dźwiękiem pustym, karygodnym dla społeczeństwa, które nie wyrzekło się godności narodowej.

Świadomi, że żadna praca skuteczna nie może być ani jednodziennem teoretyzowaniem, ani dowolnem naginaniem tradycyi narodowych dla potrzeb chwilowego poklasku, stanęliśmy twardo przy tej tradycyi, która dźwignęła niegdyś państwo polskie do potęgi, która unicestwiona potem w dobie upadku zaczęła się na nowo od epoki Sejmu czteroletniego i ciągnie się nieprzerwanie przez usiłowania legionów, rewolucyi listopadowej i styczniowej aż po czasy nasze, aż po tych ludzi w naszem pokoleniu, którzy nie utracili wiary w siły własne narodu, w zdolność zdobycia utraconej niepodległości.

Jednocześnie byliśmy przeciwnikami frazesu szowinistycznego, który otwiera wrota reakcyi, usypia trucizną bezmyślności, zabija wszelką możność celowej pracy organicznej i jest największym wrogiem polskiej polityki państwowej. Nie lękaliśmy się nawet niepopularności, pragnąc zachować całko

witą niezależność, pragnąc trafić do przekonania tych wszystkich, którzy wierzą [illegible] rodu polskiego, w odzyskanie przez niego naprzód wolności duchowej, najpotężni[illegible] czynni[illegible] w dziele samoodrodzenia.

Praca nasza nie była bezowocną i była bardzo potrzebną na gruncie galicyjskim, gdzie ideologia „moralnego podboju“ i frazesu szowinistycznego głębokie zapuściła korzenie. Pochlebiamy sobie, że spełnialiśmy dobry obowiązek polski, konieczny obowiązek obywatelski. Widzieliśmy też z radością rosnące szeregi przyjaciół i zwolenników, współkrzewicieli myśli nowoczesnej w Polsce.

Mając rozpocząć nowy rocznik pracy, odzywamy się z prośbą do naszych przyjaciół. Liczymy na ich pomoc, liczymy na popieranie moralne i materyalne naszego pisma, na zjednywanie nam nowych zwolenników! Wspólnymi łańcuchy opaszmy polskie kolisko! Służba wierna i zwarta dla idei narodowej i humanitarnej wyda błogosławiony plon i będzie nam świadectwem, że, póki sił starczyło staliśmy jak nieugięci chorążowie przy nieskalanym sztandarze.

L. W.

Z NAD WARTY I ODRY.

III.

PO ROZPISANIU WYBORÓW.

Z dniem 8-go grudnia rozluźniły się nieco kajdany ustaw wyjątkowych, gniotące ludność polską zaboru pruskiego. Tego dnia bowiem urzędowo zostały rozpisane wybory do parlamentu, skutkiem czego na okres przeszło miesięczny stracił moc swą osławiony kagańcowy §. 12 ustawy o zebraniach i stowarzyszeniach, zakazujący rozpraw w języku polskim tam, gdzie ludność wynosi mniej, niż 60 proc. ogółu. Z dniem tedy 8-go grudnia mogła i polska akcya przedwyborcza przybrać rozmiary normalne, korzystając ze swobód konstytucyjnych, znacznie rozszerzających się w okresie przedwyborczym. Rząd z rozmysłem odwlekał chwilę urzędowego rozpisania wyborów, ażeby utrudnić przygotowanie się do nich tym żywiołom, które potrafią w całej pełni wyzyskać swobody konstytucyjne, jak socyaliści, albo które wprost ruszyć się nie mogą bez zawieszenia § 12-go, jak Polacy, Duńczycy, Litwini, Alzatczycy, Morawianie.

Jakie znaczenie ma § 12 dla Polaków, najlepiej widać z tego, że przed 8-ym grudnia nie można było zwołać żadnego zgromadzenia publicznego dla Polaków w Poznaniu, w którym statystyka pruska (nie zaś rzeczywistość realna) wykazuje mniej, niż 60 prc. Polaków. Wskutek istnienia paragrafu kagańcowego wszędzie na kresach, zwłaszcza zaś w Prusach Zachodnich, polska agitacya przedwyborcza zaledwie się rozpoczyna, gdy niemiecka dawno już osiągnęła szczyt swego rozwoju. I obecnie Polacy muszą brać się ze spotęgowaną energią do dzieła, ażeby dorównać w pracy Niemcom wszelkich kierunków, pracującym bez wytchnienia już od szeregu tygodni.

W obozie niemieckim tym razem daje się zauważyć bardzo charakterystyczne zjawisko, mianowicie energiczne dążenie klerykalnej partyi centrum do zawarcia kompromisu wyborczego z hakatystami. Najjaskrawiej uwydatnia się ta tendencya na Górnym Śląsku. Tu, w okręgu opolskim, przyszedł do skutku pakt między organizacyą centrową a „Niemieckiem towarzystwem wyborczem“. Kompromis został zawarty pod patronatem prezesa rejencyi Opolskiej, Schwerina. Otóż na mocy tego kompromisu hakatyści, tworzący większość „Niemieckiego towarzystwa wyborczego“, zobowiązali się solidarnie poprzeć kandydaturę centrowca przeciwko Polakowi przy wyborach do parlamentu Rzeszy, za co centrowcy poprą kandydata hakatystów podczas wyborów do sejmu pruskiego. Takiż sam kompromis zawarto w okręgu kluczborsko-oleskim, gdzie niemiecki żywioł katolicki jest bardzo słaby. Polacy zaś budzą się do świadomości narodowo-politycznej. Tu centrowcy zgodzili się na odstąpienie hakatystom mandatu parlamentarnego i jednego sejmowego wzamian za drugi sejmowy. Analogiczna ugoda zarysowuje się w okręgu kozielsko-strzeleckim, gdzie hakatyści popierają kandydata centrowców.

Ten proces łączenia się centrum śląskiego z hakatystycznym „miszmaszem“ tłomaczy się dwiema przyczynami. Z jednej strony wzrost nacyonalizmu niemieckiego wpłynął na przejęcie się centrowców hakatyzmem antypolskim. Z drugiej — centrum śląskie stało się w ostatnich czasach sztabem ze zmniejszającą się z dnia na dzień armią. Dawniej armię tę stanowiły polskie masy chłopskie i robotnicze, ale w miarę uświadamiania się narodowego ludu polskiego wpływ na nie centrowców malał stopniowo, zanikając gdzieniegdzie zupełnie. Wobec dalszego rozwoju tego procesu centrum uznało za konieczne zbliżyć się z resztą obozu niemieckiego, co ułatwił hakatyzm, jako wspólny grunt, na którym się spotykają wszystkie żywioły niemieckie (z wyjątkiem socyalistycznego) na „kresach polskich“.

Pomimo swego hakatyzmu, najczęściej maskowanego, ale od czasu do czasu ujarzmianego z cyniczną otwartością, centrowcy nie przestają uważać się za „naturalnych protektorów Polaków“. I jako tacy, domagają się od ludności polskiej, aby wszędzie ich popierała, gdzie kandydaci centrum mają szanse przejścia głosami polskimi. Pretensye te roszczą centrowcy zwłaszcza na wychodźtwie w Westfalii i Nadrenii, gdzie w całym szeregu okręgów głosy polskie rozstrzygają przy wyborach. Ale i w kraju, w Prusach Zachopnich i w Poznańskiem, centrowcom uśmiechają się mandaty, zdobyte przez Polaków.

Natomiast tam, gdzie Polak mógłby przejść przy poparciu centrum już w pierwszem głosowa-

niu, centrowcy zachowują się wprost wrogo względem Polaków, jak to jest w całym szeregu okręgów Prus Zachodnich. Nawet w takich okręgach, gdzie Polacy są trzy razy silniejsi od centrowców, ci ostatni żądają, aby się głosowało na ich kandydata.

Ze wszystkich prowincyi zaboru pruskiego Prusy Zachodnie najmniej są dotąd przygotowane do wyborów, o ile to dotyczy Polaków. Prawie nigdzie nie wyjaśniły się ostatecznie kandydatury polskie, zwłaszcza, że ze względu na paragraf kagańcowy niepodobna było zwoływać zgromadzeń przedwyborczych. Pomimo to jednak szanse wyboru Polaków w Prusach Zachodnich nie przedstawiają się najgorzej. Uda się zapewne utrzymać wszystkie dotychczasowe mandaty, a przy pewnym zbiegu okoliczności i bardzo wytężonej agitacyi możliwe jest nawet zdobycie jednego nowego mandatu. Np. w okręgu grudziądzko-brodnickim przy ostatnich wyborach kandydat niemiecki przeszedł większością zaledwie 654 głosów. Minimalne szanse posiadają Polacy w kwidzyńsko-sztumskim, susko-luhawskim oraz w chełmińsko-toruńsko-wąbrzewskim. Oczywiście w wyborach ściślejszych, przy poparciu socyalistów.

Kandydatury polskie jeszcze nie są nigdzie ostatecznie ustalone, choć prawie we wszystkich okręgach poznańskich i górnośląskich już nie zachodzi żadna wątpliwość co do osób przyszłych kandydatów. Wiadomem jest np., że Korfanty nie będzie kandydował i że zamiast niego kandyduje Sosiński. Pewną sensacyę wywołuje zgłoszona w okręgu pszczyńsko-rybnickim na Śląsku kandydatura hr. Macieja Mielżyńskiego, niegdyś „czerwonego grafa“, obecnie skrajnego ugodowca i agrazyusza bezwzględnego. Mielżyński wsławił się ostatnio tem, że głosował za chwilowem zniesieniem ceł na kukurudzę, motywując to tem, iż ta ostatnia jest niezbędna jako pasza dla świń, jednocześnie zaś występował bezwzględnie przeciwko zniesieniu lub bodaj złagodzeniu ceł na zboże i mięso, czego domagali się jego wyborcy. Jak pisała „Gazeta Robotnicza“, hr. Mielżyński przy następnych wyborach powinienby się ubiegać o względy... świń, nie zaś dotychczasowych wyborców.

Otóż były „czerwony graf“, nie będąc pewnym mandatu w okręgu szamotulsko-obornicko-międzychodzkim (w Poznańskiem), dał się zaprosić na kandydata w przeważnie rolniczym okręgu pszczyńsko-rybnickim. Gdyby się jego kandydatura w tym okręgu ostała, byłby to objaw dość znamienny. Dotychczas bowiem kierownicy polskiego ruchu narodowego na Górnym Śląsku, posiadającego bądź co bądź charakter ludowy, nie ważyli się narzucać mu na reprezentanta wyraźnego junkra-agraryusza.

LEON WASILEWSKI.

MY A CZESI.

(Z powodu wyników spisu ludności na Śląsku).

Powoli, bez pośpiechu, wynurzają się z biur statystycznych w Wiedniu wyniki ostatniego spisu ludności państwa austryackiego. W odstępach miesięcznych, albo jeszcze dłuższych, obywatele czarno-żółtej monarchii dowiadują się o wynikach spisu roku 1910-ego w tej czy innej dziedzinie ruchu ludnościowego. Dane o ustosunkowaniu się wzajemnem narodowości w poszczególnych „krajach, reprezentowanych w radzie państwa“, te właśnie dane, które ze względu na pierwszorzędną doniosłość kwestyi narodowościowej w Austryi, są bodaj że najciekawsze, zostaną ujawnione na samym końcu. Dlatego też nie mamy jeszcze żadnych wiadomości, jak wypadł spis r. 1910-go w Galicyi. Natomiast posiadamy już (ogólnikowe przynajmniej) wyniki spisu ludności na Śląsku.

Jak było do przewidzenia, wypadły one dla ludności polskiej fatalnie skutkiem wprost nienaturalnego wzrostu dwóch innych żywiołów narodowościowych — Niemców, przedewszystkiem zaś Czechów.

Według spisu r. 1910 ogół ludności śląskiej (w obydwóch częściach kraju, tak w Opawskiem, jak i w Cieszyńskiem) wynosi 757.000. Mieszkańcy Śląska dzielą się na następujące grupy narodowościowe: 325.518 Niemców, 235.224 Polaków, 180.352 Czechów, oraz 15.493 obcokrajowców, których języka i narodowości statystyka austryacka dlaczegoś nie uwzględnia. Przy porównaniu wyników spisu ostatniego z rezultatami trzech poprzednich otrzymamy następujące zestawienie:

Rok	Ogółem	Polaków %	Niemców %	Czechów %
1880	550.662	28·12	48·00	22·93
1890	605.649	29·40	46·48	21·43
1900	680.422	32·40	43·58	21·14
1910	756·948	31·09	43·04	23·73

Z cyfr tych przedewszystkiem widoczny jest olbrzymi wzrost ludności Śląska, tłómaczący się potężną immigracyą, spowodowaną niepospolitym rozwojem przemysłu górniczego i hutniczego w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Następnie na podstawie tych danych możemy stwierdzić, że między rokiem 1880 a 1900-ym żywioł polski był jedynym, który ustawicznie wzrastał, gdyż procent Niemców i Czechów stale spadał. Wreszcie dane te wskazują nam zjawisko, dotychczas na Śląsku nieznane, mianowicie nagły wzrost procentu Czechów, przy minimalnem obniżeniu się procentu Niemców

jednej polskiej grupy politycznej, którąby się godziła na wcielenie Cieszyńskiego do przyszłego państwa czeskiego.

W dziedzinie polityki zagranicznej sympatye i dążności Czechów u Polaków znajdują się w jaknajbardziej jaskrawej sprzeczności. Czesi — od góry do dołu, od Kramarza aż do robotnika, zorganizowanego nawet w partyi socyalno-demokratycznej, są fanatycznymi miłośnikami Rosyi. U polityków młodoczeskich przywiązanie do Rosyi (nota bene do Rosyi urzędowej, Rosyi Stołypinów i t. p.) dochodzi do krańcowości, wywołuje objawy zwyrodnienia moralnego. I ta miłość Rosyi, to dbanie o jej interesy, kieruje wszystkimi krokami Czechów w polityce zagranicznej. Popieranie wstrętnych dla nas przedsięwzięć „neosłowiańskich“ z jednej strony, a z drugiej — dążność do zbliżenia Austryi z Rosyą i do zapobiegania możliwym konfliktom dwóch tych mocarstw „zaprzyjaźnionych“ — oto wytyczne polityków czeskich w tej dziedzinie. Niedawne groźby dra Kramarza pod adresem Austryi, protegującej Ukraińców — groźby ze stanowiska Rosyi, nie były czemś odosobnionem i wyjątkowem. Wypływały one z poczucia bezgranicznej miłości dla caratu, jaką opanowane są bardzo szerokie koła czeskie, wychowujące się od lat kilkudziesięciu na „Narodnich Listach“.

I antagoniści Rosyi, a zarazem ci politycy polscy, którzy chcieliby oddziaływać na Austryę w duchu interesów polskiej polityki narodowej nigdy nie powinni zapominać, że Czechów będą mieli zawsze przeciwko sobie.

WILSKI.

POLACY A POLSKOŚĆ W ROSYI.

I.

Wychodźtwo w obecnych warunkach ekonomicznych i społecznych stało się zjawiskiem ciągłym i normalnym. Każde społeczeństwo współczesne wytwarza siły, których zużytkować nie może, czy nie umie.

Im społeczeństwo dane stoi wyżej pod względem ekonomicznym i kulturalnym i im większą potęgę przedstawia, jako jednostka państwowa, tym racyonalniej kieruje zbytek ludności kraju na zewnątrz, by nie tylko nie zubożyć się przez nadmiar żądnych praw do życia obywateli, lecz by przy ich pomocy wzbogacić się jeszcze.

Niestety, nie każde społeczeństwo w tak szczęśliwych znajduje się warunkach. Polskie zaś — znajduje się w warunkach najfatalniejszych, bo nie tylko nie posiada terenów, na których z pożytkiem dla siebie mogłoby nadmiar ludności swej osadzać, lecz nie posiada samo elementarnych podstaw rozwoju: samodzielności i swobody. Wychodźtwo polskie z Królestwa nie ma żadnego racyonalnie wytkniętego kierunku; jest rozbite i bezładne.

Rozbitki polskie rozchodzą się po wszystkich kątach starego i nowego świata i po większej części rozpływają się w nich, zatracając wszelką łączność z krajem ojczystym.

Daje się obserwować przytem zjawisko tego rodzaju, że wówczas, gdy wychodźtwo z ludu kieruje się przeważnie na zachód, do Niemiec i Ameryki, gdzie wytworzyło się już kilka dość licznych ognisk polskich, inteligencya nasza kieruje swe kroki przeważnie na wschód i szuka chleba oraz karyery na olbrzymich obszarach Rosyi europejskiej i azyatyckiej.

To też, gdy emigracya nasza ludowa w Niemczech i Ameryce, trzymająca się zwykle gromadą, skarży się na brak sił inteligenckich, które mogłyby i umiały przeciwdziałać skutecznie jej wynarodowieniu, nasza emigracya szlachecko-inteligencka w Rosyi, skazana siłą okoliczności i warunków na większe odosobnienie, traci stopniowo związek ze społeczeństwem, martwieje społecznie, lub wynaradawia się.

Ten podział wychodźtwa, wielce szkodliwy dla naszego społeczeństwa, jest jednak nieunikniony.

Zachód, stojący wyżej kulturalnie i cywilizacyjnie, potrzebuje rąk do robót grubszych i mało płatnych, do robót, których miejscowy pracownik jużby się na warunkach nizkich nie podjął. On potrzebuje kulisów, i tych mu dostarczamy. Sił inteligenckich posiada w bród i ich od nas nie potrzebuje.

Rosya zaś, która robotnika prostego i taniego, bo wiecznie głodnego, posiada aż nadto, a nie ma dostatecznej ilości inteligencyi do eksploatacyi swych olbrzymich bogactw naturalnych, siłą konieczności stała się i stać musiała terenem wychodźtwa dla naszej inteligencyi zawodowej i wogóle ludzi, którzy bez zbytniego trudu pragnęliby żyć i dorabiać się. Wpływ olbrzymi mają na to i warunki polityczne, w jakich zostajemy.

Lepsze posady rządowe w Królestwie i reszcie ziem byłej Rzeczypospolitej są obsadzone prawie wyłącznie przez rosyan; przemysł w olbrzymiej większości pozostaje w rękach obcokrajowców: niemców i francuzów; handel zaś — w rękach żydów zarówno miejscowych, jak i napływowych. Nic też dziwnego, że inteligiencya polska musi szukać chleba poza krajem i dąży w kierunku najmniejszego wysiłku i konkurencyi, więc do Rosyi.

Poza inteligencyą zawodową — w ostatnich latach kryzysu porewolucyjnego, rozpoczęło się wychodźtwo poniewolne do Rosyi i robotników - rzemieślników, których rząd wysyłał administracyjnie, a przemysłowcy wyrzucali z fabryk z wilczym bile-

tem, w postaci czerwonej pieczątki w książeczce robotniczej.

Obie te warstwy polaków z Królestwa stanowią przecież część zaledwie, i to niewielką, ogółu polskiego w Rosyi.

Największy kontyngent wychodźców polskich do Rosyi rekrutuje się z Litwy, Białej Rusi i Ukrainy, krajów dawniej zabranych i nie należących właściwie do etnograficznej Polski.

Żywioł polski w tych krajach stanowi głównie szlachta większa i drobna.

Ponieważ ziemia nie wszystkich może obecnie utrzymać, przeto muszą szukać chleba na innych polach. A że kraje te nie posiadają przemysłu i handlu, rozwiniętych w tym stopniu, co Królestwo, część więc tylko szczupła polaków może znaleźć chleb i zajęcie w zawodach wyzwolonych na miejscu, reszta zaś zmuszona jest szukać chleba w Rosyi.

Zaznaczyć też tutaj należy, że olbrzymi procent polaków, pozostających na służbie państwowej: cywilnej i wojskowej, rekrutuje się właśnie ze szlachty Litwy i Ukrainy, pogodzonej w większości znakomitej zupełnie z państwowością rosyjską.

II.

Proces wynaradawiania się, a, co za tem idzie asymilacyi z nowem, otaczającem społeczeństwem odbywa się wszędzie.

Nic przeto dziwnego, nienormalnego, zdaje się, nie powinno być w tem, że polacy, mieszkający w Rosyi, przyjmują kulturę rosyjską, wynaradawiają się. Dla bezstronnego badacza lepszem nawet stokroć zjawiskiem społecznem jest asymilacya całkowita, aniżeli częściowa, połowiczna, wytwarzająca typ ludzi nieokreślonych, szarych i bezbarwnych, nie należących właściwie ani do społeczeństwa, z którego wyszli, ani do nowego, wśród którego żyją.

Dla polaków jednak, dla członków narodu ujarzmionego, narodu, walczącego na każdym kroku o swe istnienie, o swą przyszłość i uczestnictwo samodzielne w pracy wszechludzkiej, tego rodzaju traktowanie sprawy wynarodowienia jest niedopuszczalne.

Dla przyszłości naszej jednakowo szkodliwi są ci polacy, którzy całkowicie — z tych lub innych przyczyn — przyjęli narodowość obcą, jak ci, co zatracili związek kulturalny z własnym narodem, jak ci, co, choć mówią po polsku, po polsku myśleć nie umieją.

I jedni i drudzy — przestają stanowić cząstkę żywą ciała i duszy narodu, i jedni, i drudzy dla narodu istnieć przestają.

III.

Zachować narodowość i przekazać ją potomstwu w nieskażonym charakterze — dla polaka, mieszkającego w Rosyi, jest trudno.

Nie każdy może to zrobić własnemi siłami, nawet przy najlepszych chęciach. Konieczna jest pod tym względem daleko idąca samopomoc rodaków. Polak, który przyjeżdża do Rosyi, rzadko wynaradawia się sam, lecz drugie pokolenie przeważnie jest już wynarodowione napół, a trzecie — zupełnie.

Przeciwdziałać temu może: wychowanie dzieci w kraju ojczystym, lub staranne wychowanie w duchu narodowym w domu, danie możności poznania gruntownego dziejów i literatury ojczystej, wyjazdy do kraju, a, co najgłówniejsze, utrzymywanie stałego kontaktu z życiem współczesnem narodu.

Bardzo niewielu, niestety, polaków w Rosyi zdaje sobie sprawę z ogromu ważności takiego wychowania dzieci i takiej dbałości o utrzymanie związku z ojczyzną.

Jeszcze mniej — ma możność po temu.

Do rzadkich też wyjątków należy pewna znana mi osada fabryczna na południu Rosyi, gdzie wszyscy majstrowie-polacy, nie należący do klasy „urodzonych“ przedstawicieli narodu, odejmują sobie od ust niemał chleba, by po troje, czworo dzieci kształcić w kraju i dla kraju.

Lata dziecinne i wczesnej młodości mają wpływ przeważny na całe życie dalsze, to też organizowanie choć tutaj na miejscu szkół i instytucyi, któreby wytrwale i celowo pracowały, utrzymywały biblioteki, urządzały wykłady, odczyty, teatry, wreszcie wycieczki zbiorowe do kraju, może ogółowi polskiemu w Rosyi w dążeniu do utrzymania charakteru narodowego dopomóc.

Instytucyi, które w tym celu były tworzone, jest sporo. Inicyatywy chwalebnej pod tym względem było nie brak. Niestety, nie można tego powiedzieć co do samego wykonywania założeń i zamiarów.

Dużą pod tym względem przeszkodę stanowią warunki polityczne, stokroć jednak większą zaporą jest złe zrozumienie potrzeb, niewytrwałość i brak mocnej woli u samych polaków.

Związki polskie w Rosyi — to po większej części kluby towarzyskie, tańcująco-karciane, a w najlepszym razie zakłady mdłej i bezdusznej filantropii.

Wieje od nich nudą, banalnością.

Roją się od koteryi i koteryjek.

Miast być ośrodkami życia, są zwykle wiodącemi żywot instytucyami, ożywiającemi się 2, 3 razy do roku, w czasie karnawału.

Nie ludzie do nich się garną, ale one proszą i wypraszają poparcie ogółu.

Winić o to zarządy tych instytucyi, winić jednostki — nie można. One są takie, jaki ogół.

A ogół ten zbyt wiele myśli o chlebie powszednim, zyskownych operacyach, szybkiej karyerze, a zbyt mało o wzbogacaniu umysłu i serca, zbyt mało o obowiązkach względem kraju, względem własnego społeczeństwa.

Każdy woła: warunki ciężkie.

I temi warunkami ciężkiemi oraz obowiązkami względem rodziny — stara się wytłumaczyć, a właściwie — wykpić.

Bo te warunki nie przeszkadzają w uciechach „tanich“, choć drogich.

Bale polskie słyną w Rosyi z szyku i elegancyi. Stare przysłowie „zastaw się, ale postaw“ illustrowane jest całym zasobem pychy pawiej i papuziej barwności.

Na robrów kilka, partyjkę, knajpkę, wreszcie kult muz mniej, lub więcej podkasanych — czas i pieniądz się zawsze znajdą i znajdują.

Jednem słowem, pod względem ochoty do zabawy polak tu ten sam, co i w kraju.

Różnica zaś — ta tylko, że tam nie brak ludzi i do pracy społecznej.

Za przykładem starszych idzie młodzież płci obojga.

Miast nieść wysoko sztandar idei, miast kształcić umysł i serce, miast iść na przedzie w narodu pochodzie, pławi się w przyziemnych, płaskich roz-

rywkach, a Erosowi stawia nie tyle wielkie, ile liczne ołtarze.

Arcybaszew, Wierbickaja, Srokowski, Makuszyński — oto ulubiona jej lektura.

Objaśniają to różnie: wpływem reakcyi ogólnej, prawami życia, młodości.

Czem będziemy smutne te zjawiska objaśniać, postaci rzeczy nie zmienia.

Jest źle i być tak nie powinno.

Na abnegacyę duchową, ideową i popuszczania pasa słabościom, przywarom — czas jest najmniej właściwy.

To pewne, że oddalenie od kraju i przebywanie wśród obcego społeczeństwa osłabia i rozluźnia pęta społeczne. Ale też stanowczo zbyt pohopnie zrzucamy je.

Jest to wadą wielką i świadczy o niskim stopniu uświadomienia społecznego.

Każdy polak, a więc człowiek, czerpiący z dobytku duchowego narodu, tem samem jest dłużnikiem wiecznym swego społeczeństwa i obowiązany jest zawsze i wszędzie, w miarę możności, służyć mu. A stosuje się to zarówno do polaków z Królestwa, jak z Litwy, Ukrainy, Białej Rusi, wreszcie tych licznych już, co wzrośli w Rosyi.

Podkreślam to celowo, bo polacy z poza granic Królestwa, gdzie przyszłości naszej być nie może, gdzie życia polskiego na szerszą skalę niema, sądzą, że są niejako zwolnieni od wszelkich obowiązków narodowych.

Chowają się poza nazwy swych dzielnic i krajów oraz wołają obłudnie, czy naiwnie: my z Litwy, my z Ukrainy, lub wprost: my — litwini, my ukraińcy.

Co to ma oznaczać?

Czy to, że ludzie ci uważają się za litwinów, lub ukraińców, biało-rusinów i pracują dla kultury i przyszłości tych narodów?

Gdyby tak było istotnie, to, ma się rozumieć, nie moglibyśmy mieć do nich żadnej pretensyi, przeciwnie winnibyśmy być dla nich z całem uznaniem.

Nasuwa się jednak drugie pytanie.

Czy to czasem nie ostatni mohikanie skazanej na zagładę przez rozwój dziejowy kasty szlachciców katolickich z Litwy, Ukrainy, kasty, która poza słabem już przywiązaniem do dawno minionej przeszłości i kręgiem wązkim interesów własnych nic widzieć, czuć i rozumieć nie zdolna.

Boć, jeżeli ci ludzie są istotnie członkami żywego narodu, to i oni mają ojczyznę właściwą w Polsce etnograficznej, skąd bije życie narodu, gdzie się ono rozwija i gdzie jego przyszłość.

Zabytkiem z czasów państwowości polskiej jest podział mieszkańców Rzeczypospolitej na dzielnice: Koronę i Litwę.

Dziś podział musi i może być tylko według narodowości.

Litwini, białorusini i ukraińcy — to narody odrębne, a polacy, t. j. ludzie kultury polskiej, są jedni, a przynajmniej powinni być jedni wszędzie: czy to na ziemi polskiej, czy na Litwie, czy też na obczyźnie.

Niestety, uświadomienia żadnego pod tym względem niema, a rezultat tego jest taki, że wychodźcy z Litwy, Ukrainy, zmuszeni szukać chleba w Rosyi, tracą zupełnie grunt narodowy pod nogami z chwilą, gdy opuszczają progi swych ocienionych lipami dworków.

Nić tradycyi się rwie i gubi, a związku z Polską etnograficzną, z współczesną kulturą narodową niema, bo nie było.

Polska jest dla nich mytem przeszłości dalekiej i bezpowrotnej, związanej z tradycyą szlachecką. Klejnotem rodowym i wyznaniem rzymsko-katolickiem. Polskość zaś — to zabytek starożytny, który chowa się w gablotce szklanej i który konserwować i cenić należy, jako zabytek, nic więcej. Miast Kościuszków, Mickiewiczów, Słowackich, Konarskich, Worcellów, Kraszewskich, Limanowskich — mnożą się coraz więcej na miejscu Korwin-Milewscy i Druccy-Lubeccy, wychodzą zaś do Rosyi działacze tego rodzaju, co Syrokomla-Spoćko, Glinka-Janczewskij, lub dygnitarze tego pokroju, co naczelnik więźniów, Zabiełło, prokurator, Korsak.

We wszystkich dziedzinach życia publicznego i państwowego Rosyi: na katedrach uniwersyteckich, w sztuce, sądownictwie, administracyi, wojskowości, coraz liczniej można spotkać nazwiska o brzmieniu i pochodzeniu polskiem, noszone przez ludzi, nie tylko nam obcych, lecz wrogich.

To renegaci całkowici starszej, lub świeższej daty. A iluż poza tym mamy tchórzów, wstydzących się swego pochodzenia, jak grzechu śmiertelnego, iluż mamy oportunistów, karyerowiczów, lub statystów!

Iluż wreszcie mamy ludzi, choć prawych i uczciwych osobiście, lecz konserwatywnych i nie rozumiejących zadań i potrzeb społeczeństwa.

Instytucye polskie, tworzone i kierowane przez nich, są martwe i puste, bo i oni boją się wszelkiego tchnienia świeższego, demokratyczniejszego, śmielszego, i życie od nich ucieka.

Wszelka inicyatywa tych ludzi, w najlepszych, ich zdaniem, przedsięwzięta intencyach, spala na panewce.

I wytwarza się sytuacya tego rodzaju, że mamy instytucye, mamy ustosunkowanych i na stanowiskach prezesów, członków zarządów i rad, a nie mamy życia społecznego i narodowego. Że nasze „Ogniska“ nie grzeją, „Zachęty“ nie zachęcają, „Promienie“ nie promieniują.

W takich warunkach trudno się oburzać i dziwić, że elementy demokratyczniejsze, umysły młodsze i świeższe omijają z daleka instytucye polskie, a często i samą polskość porzucają. Polskość ta poza granic interesów kasty i wspomnień jej nie sięga, jest czcza i jałowa. Nie tylko nie jest w stanie budzić wokoło siebie życie, lecz sama skazana jest na uwiąd starczy i zanik.

Zatrzymałem się dłużej nad starszą generacyą wychodźców z pośród szlachty Litwy i Rusi dlatego, bo stanowi ona główne jądro kolonii polskich w Rosyi.

A szukając przyczyn martwoty życia społecznego wśród naszej „Polonii“ i łatwego wynaradawiania się młodzieży naszej, nie sposób mi było jądro to pominąć.

Rażąca i głęboka różnica między zasklepionym w przesądach i martwym ideowo gniazdem rodzinnem, a środowiskiem rosyjskiem, bądź co bądź pełnem życia, zagadnień, potrzeb, niedomagań, dążeń — nie może nie oddziaływać na wrażliwe dusze młode, rwące się do czynu i życia.

A rezultat tego oddziaływania w warunkach obecnych nie może być dla naszego społeczeństwa pożądany.

Tylko więcej konserwatywne i bierne żywioły wśród młodzieży odgradzają się od otoczenia, wloką dalej nić tradycyi wyblakłej i grążą się w egzystencyi ślimaczej, więcej zaś krytyczne, zdolniejsze i energiczniejsze elementy szukają dróg i celu w życiu, szukają karmu dla ducha i, nie znajdując go wśród swoich, wciągają się w życie otaczającego społeczeństwa rosyjskiego, przejmują stopniowo kulturę obcą, wynaradawiają się.

Zycie tylko tradycyą, przeszłością, wspomnieniem — to dobre dla starców, dla ludzi, którzy w życie już nic nie wnoszą i od życia niczego się nie spodziewają.

Młodzież, przed którą życie się dopiero ściele, musi patrzeć w przyszłość, a żyć dniem dzisiejszym.

Nie powinna ona odgradzać się od życia murem chińskim i nie brać w nim udziału.

Części zaledwie dane będzie powrócić do kraju i pracować wśród własnego społeczeństwa, reszta zmuszona będzie zostać w Rosyi.

Jak więc uzbroić ją do życia, a zarazem uodpornić narodowo?

Jedna jest tylko droga i jedna broń.

Należy ją uzbroić w całą potęgę i świeżość współczesnej kultury narodowej, dać jej możność poznawania gruntownego i wszechstronnego życia, walk i zadań naszego społeczeństwa, nauczyć ją kochać ojczyznę w tym najlepszem, a więc czysto duchowem znaczeniu, i dbać o przyszłe losy narodu. Tylko wówczas będziemy spokojni o przyszłość naszych kolonii polskich i nie będziemy potrzebowali obawiać się udziału polaków w życiu politycznem i społecznem Rosyi.

Tylko wówczas polacy będą wnosić do życia rosyjskiego pierwiastek odrębny, a dodatni, bo owiany wolnościowemi i postępowemi zasadami.

Tylko wówczas będą nie tylko odbiorcami kultury rosyjskiej, lecz ze swej strony będą użyczać pierwiastków kultury naszej.

Tylko wówczas będą mogli — z jednej strony — zapoznać społeczeństwo rosyjskie z istotnemi poglądami, potrzebami i dążeniami naszego narodu, a z drugiej — informować stale społeczeństwo polskie o wszystkich przejawach życia w Rosyi.

Tylko wówczas, wreszcie, zdobędą szacunek dla samych siebie, a zarazem zrozumienie i uznanie dla narodu polskiego u rosyan.

Aby spełnić to zadanie doniosłe i osiągnąć pożądany skutek, inteligencya i młodzież polska w Rosyi — powinnyby poza podziałem na jałowe i nic nie dające grupy polityczne, koterye i kluby, skupić się pod sztandarem kultury narodowej, owianej duchem demokracyi, tolerancyi i wolności.

IV.

Przyszłość nasza tam, gdzie demokratyzacya szeroka i wolność.

Na to zgodzi się każdy polak, który myśli o przyszłości narodu.

Różnice zachodzą tylko w pojmowaniu zakresu tej demokratyzacyi i wolności.

W różnych okresach, różnych krajach, wśród różnych warstw społecznych — pojęcia te miały i mają odmienne tłumaczenie i znaczenie.

U nas to samo ma miejsce.

Są różne prądy myśli i różne ideologie, a wpływa na nie nie tylko przynależność do danej sfery, czy klasy społecznej, nie tylko właściwości psychologiczne, umysłowe i uczuciowe, lecz i w wysokim stopniu wiedza.

Aby określić należycie swe stanowisko względem własnego społeczeństwa, aby wybrać drogę, na której najlepiej i najskuteczniej można dlań pracować, aby wreszczcie uznać pewien kierunek, ideologię, program — za jedyny i zbawienny, należy nie tylko społeczeństwo to kochać, uznawać się za jego członka, lecz trzeba także możliwie wszystko o niem wiedzieć.

A więc wiedzieć, jak to społeczeństwo powstało, jakie przechodziło koleje, jakim podlegało wpływom, jaki był i jest jego ustrój, jakie wśród niego nurtowały i nurtują prądy myśli i hasła, jakie były i są jego braki, wady, potrzeby, jakie są cechy jego kultury i jaki dorobek.

Tymczasem cóż się dzieje w miastach uniwersyteckich Rosyi?

Jak wypełnia te luki w swej wiedzy nasza młodzież, wychowywana w obcych uczelniach?

Oto — przeważnie — albo gnuśnieje w operetkowej iście egzystencyi, lub też „stante pede" wstępuje, zaagitowana doraźną przemową, lub broszurami — do pewnego obozu politycznego, czytuje tylko pisma partyjne, a wszystko, co za partyą istnieje, uczy się uznawać za marne i głupie.

Na progu już życia sama stwarza sobie ramy wązkie, przez które widzi tylko odłam, skrawek życia, społeczeństwa, i to zabarwiony pędzlem partyjnym.

Nie wiedza i życie wyrabiają w niej przekonania, a przeciwnie przekonania partyjne normują wiedzę i pogląd na życie.

Ja jestem socyalistą — woła młodzieniec i czuje się uprawniony do ignorowania dziejów narodu aż po moment narodzin partyi.

Ja jestem narodowcem — woła drugi i z pogardą odwraca się od niezmiernie pouczającej, ciekawej i rozszerzającej światopogląd dziedziny nauk społecznych.

Ja jestem postępowcem — woła trzeci i... czyta „Nową Gazetę" lub „Riecz".

Nie czuje pierwszy, że pozbawia się możności jakiejkolwiek racyonalnej budowy, wobec braku znajomości przeszłości, charakteru i ducha narodu.

Nie chce zrozumieć inny, że stosunki gospodarcze i społeczne stanowią oś życia narodów i społeczeństw.

A rezultat tego jest taki, że i jedni i drudzy, z chwilą wstąpienia na arenę życia szerszego, gubią się w chaosie skomplikowanych nadzwyczaj zjawisk współczesnych, że często czerwony, jak burak, student, po skończeniu wyższego zakładu naukowego, staje się białym, jak „alba" księżowska, że nie zdobyte przez wiedzę i nie prześwietlone przez krytycyzm poglądy partyjne nie wytrzymują tej kapitalnej, a ciężkiej zarazem próby, jaką jest życie, a co najgorsze, że ramki, klamry i paragrafy partyjne nie wyrabiają samodzielnych, zdolnych i krytycznych członków społeczeństwa, lecz przysparzają i tak licznych zawsze matołków.

Zaciąganie młodzieży uczącej się pod sztandary partyjne chybia zawsze celu, a szczególnie na obczyźnie, z dala od społeczeństwa, tego jedynego sprawdzianu racyonalności tych lub innych poglądów.

W Rosyi polacy mogą sie dzielić jedynie

tych, którzy chcą iść naprzód, pracować dla rozwoju i pomyślności społeczeństwa, i tych, co niczego poza osobistemi interesami i uciechami nie widzą i nie pragną.

Tutaj mogą tylko tworzyć odłamy różne pracy kulturalnej.

Różnice w poglądach na to, jaki rodzaj pracy jest najważniejszy, nie powinny ich odpychać od siebie.

Różnice te są konieczne.

Niema ich tylko tam, gdzie niema poglądów, przekonań, dążeń, pragnień, gdzie panuje apatya i kołtuństwo.

Niestety, zaciekłość partyjna, a właściwie odłamowa, uznawać różnic nie pozwala.

Barwy stanowią o wszystkiem.

A poza barwami ginie już wszystko, ginie nawet wzgląd na cel ostateczny: dobro społeczeństwa ojczystego.

JAN KLECZYŃSKI.

26)

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY.

Pogarda i nienawiść ogniste iskry roznieciły mu w głowie. Widział przed sobą przepraszającego Wapowicza, znowu czuł ślinę, zbierającą mu się w ustach, bladość i znieruchomienie wstrętu. Ani cienia dumy, że jego przeprosił ten tam... jakby może było jeszcze przed paru miesiącami.

Ale potem nadszedł jakiś niejasny ogień rozpaczy.

— Czy i ja mam kiedyś być taki?

Trwoga zatrzęsła z nim od góry do dołu.

— Nigdy, nigdy! — raczej zbrodnia!

Zamajaczyły mu stalowe, naiwnie smutne, szczere i przeoczyste, jak u dzikiej, straszliwie pożądające oczy Mary.

Nie do tego ona tęskni — o nie!

Szaleństwa pragnie — zapamiętania — białego żaru czystej miłości — wyłącznej, jedynej — ciągle — bez wytchnienia — na śmierć.

Biedna ona!

Żal zalewał mu serce, ogarniał całą duszę — żal nieosobisty, ogromny — coraz szerszy — daleki — jak świat.

Oh, co to za żal? Skąd te łzy?

Oh! Jak to cudnie, jak bosko tak cierpieć!

* * *

Miłość jest podstępna, jak te włoskie trucizny, co wchodzą w krew z oddechem niewidzialnie, bez śladu — i wtedy się je uczuwa, gdy niema już ratunku. Miłość wpełza „księżyca i złodzieja śladem" — i świeci sztyletem wtedy, gdy serce już krwią ocieka. Miłość jest lekka w szczęściu, niedostrzegalna, jak dusza — i skałą kamienną się staje na piersiach, gdy umiera. Miłość jest mocą dwojga. Tworzy kaleki z samotnych. Miłość niewzajemna jest tylko zarazą, jak dżuma.

* * *

Julek miał lat 19 i pół. Nad pełnemi, czerwonemi wargami kręcił mu się niesforny, młody, porost — trudnoby to jeszcze nazwać wąsami. Nieznaczne dwa projekty na bakobrody stanowiły jego dumę — było to „coś z księcia Józefa", któremu historycznie wiele miał wprawdzie do zarzucenia, ale o jego powodzeniach miłosnych myślał z zazdrością. Na brodzie wichrzyły mu się też jakieś [illegible]remne kłębki. Szafirowe, błyszczące oczy, czarne brwi, chaos ciemno-blond włosów nad jasnem czołem, świeża cera, białe, zdrowe zęby w uśmiechu, nos trochę duży, ale jeszcze jaki taki — czyniły zeń chłopca przystojnego, co się nazywa! A że był smukły, zgrabny, mocny, że pozował trochę na powagę, dziecinniejąc w jednej chwili, gdy się ożywiał, że chodził w studenckiej czapce, więc czyż nie miał prawa się podobać?

No, i miał talent, ale to głupstwo. Czasem dodawał do rzeczywistych swoich roztargnień i zamyśleń robione — ale daleko więcej mu chodziło o to, żeby mu panna Czesława patrzała w oczy, niż w talent.

Olśniewała go. Oczy jej miewały płonące błyski, które tonęły mu w piersiach, i nieciły głuche ognie, jak tęgie wino. Jej delikatny a mocno zbudowany nos miał dla niego niewysłowiony urok „śnieżnego pagórka wśród różowych dolin", wdzięk jego zarysowań wprawiał go w zachwyt. Ten ciekawy, dowcipny nosek szedł z pod mądrego, otwartego czoła, z pomiędzy wielkich, błyszczących oczu, równą, niedługą linią — nie tak krótką jednak, aby tworzyć nos „zadarty" i linia pod dosyć szerokim kątem zniżała się potem ku pełnym, malinowym wargom, otoczonym ledwie widocznym puszkiem, jak brzoskwinia. Niewielkie, wązkie, chrząstkowate nozdrza rozdymały się nieznacznie, gdy z Julkiem mówiła, zawsze prawie gryząc jakąś trawkę, lub machając nią koło ust. Śmiała się odważnie, zęby miała nie gorsze od Julka, aż lśniły w półcieniu werandy wieczorami.

A z pełnych, mocnych jej kształtów szedł żar niewyjawionych pożądań, skrytych uniesień, dziewiczych, niejasnych tęsknot.

Czy była zalotna?

Lubiła rozmawiać z Julkiem. Zawsze prawie było to „pół żart pół seryo". Zabawa, albo pojedynek słów i spojrzeń — trochę zwierzeń, rzucanych lekko z półuśmiechem — trochę milczenia, w którem się nuciło coś półgłosem — coś wesołego najczęściej.

Julek patrzał na nią nieraz z rozpaczą. Tak mu z nią było dobrze — a tu stara miłość nie puszcza! Nie mógł — nie — poprostu nie miał prawa zbliżyć się do Czesławy — te uczucia, które miał dla niej, to takie sobie przemijające, powierzchowne sympatye. Dosyć mu było tego, że z nim mówiła, żartowała, chciałby nieraz być od niej blizko — ach. bardzo blizko — doprawdy nie umiałby okre-

ślić stopnia tej bliskości — ale mój Boże, czyż to podobne do miłości! Gdy jej nie widział, stawał się zdenerwowany — no, nic dziwnego, przypominały mu się jego kłopoty — a on tyle ciężkich rzeczy już przeżywał. Wogóle całą siłą odsuwał od niej wszelkie swoje myśli — jakby to powiedzieć? — myśli marzeniowe. Kokietował ją, jak umiał. Wzrokiem, dowcipem, artyzmem, humorem, a zresztą to jakoś wychodziło to samo przez się. Ona robiła to samo — no, naturalnie!

Na—tu—ral—nie!

Kiedyś pomyślał, że to jego siostra. Wzruszyło go to tak, że zaniemówił i wobec niej, nie bardzo mógł poruszać wargami, zęby zacinały mu się, w gardle dławiło. Chciał jej to powiedzieć — ale jak?...

Nie, to niema sensu. Taki żartobliwy ton — i nagle „siostra“! — Ach, jakiż to głupi sentymentalizm!

I znowu zaczynał drwiącą, niepokojącą rozmowę, po której oboje dostawali wypieków i mieli niekiedy ochotę uścisnąć się mocno — chociażby za ręce. No tak — chwycić tę jej białą, mocną, a miękką rękę — i przytulić do piersi, do ust!

Nie, nie, nie!

Strach ogarniał Julka na tę myśl bezbożną.

Ale wkradło mu się to, pomimo wysiłków, do jego marzeń. Ręka jej hypnotyzowała go. Spoglądał na nią z bólem, prawie ze złością. Chciał o tej chęci swojej zapomnieć. Gadał wtedy bez przerwy, dowodził niestworzone rzeczy — musi przecież wciąż pokazywać, że to żarty.

— Ta Jadzia!!

Dlaczego jedną tylko się kocha?

* * *

Pochłaniało Julka wolne życie wiejskie. Polowanie, jazda konna, powożenie, spacery piesze. I malowanie.

Wszystko mu się udawało. Był w stanie ciągłego podniecenia, a raczej rozpierał go nadmiar sił młodości. Słońce miał w mózgu i w oczach. Koń pod nim chodził jak wicher, a Julek lubił gnać po szerokiem polu. Ogarniało go natychmiast uniesienie, chciałby był latać, jak kula, do utraty przytomności, To samo, gdy malował. Zaciskał zęby, żeby hamować ruchy swej dłoni, która odgadywała, co miała czynić, zanim rozkaz nadszedł z mózgu — z duszy — z tych niewidzialnych splotów intuicyjnego odczuwania, co się mieszczą raczej w piersiach, nie w głowie — a może w całem ciele, nie tylko nawet w samych nerwach. Czuł w duszy bijące źródło niezgłębione, falami płynące, wciąż świeże, wciąż mocne. Czuł, że był twórcą w każdym szkicu, w każdym pejzażyku. Dużo widział, jeszcze więcej odgadywał — nieraz całemi godzinami tworzył pogłębienia oddali, złote pyły światła, lśnienia liści rosą na drzewach, gdy je księżyc ubrylanci, że błyszczą siecią gwiazd rzuconych w gęstwinę. Uczył się z błyskawiczną szybkością. Każdy pejzaż był nową lekcyą.

Przyszła kolej na portrety. Pierwszemi były, jak zawsze, karykatury. Wapowicz i Chlewicka — to były w tym kierunku arcydzieła. Dziewczęta wpadały we wrzaskliwy entuzyazm, a Antek stawał na głowie i chodził na rękach, zobaczywszy płaczliwą fizyonomię Wapowicza w krótkich spodenkach pięcioletniego chłopczyka, pod rękę z ciocią, która z tragiczną powagą mu ucierała nosek.

Potem malował Marę, a portret bił taką mocą woli i żarzącej tęsknoty, że Marze łzy stanęły w oczach i ze wzruszenia nie mogła ani słowa wykrztusić. W końcu rzuciła się Julkowi na szyję i uściskała mocno. To jej ulżyło.

— O jej, zabeczała się dziewczynka! — wołała wprost szczęśliwa z portretu. — Ale pan się nie gniewa, że pana pocałowałam? — dodała wpół seryo, choć śmiała się już serdecznie.

— Nie! — odparł Julek wesoło — również wzruszony.

— Tęgi z pana chłopak — szkoda, że już... e.. hem, brum — palnęła się w usta — ale to ni nie szkodzi! — dodała, patrząc na Czesławę.

Tamci zrobili dość głupie miny.

— Co nie? No to nie! — Co się odwlecze, to nie uciecze!

— Aa, jakaż pani miła kobieta! — zawołał Julek, kryjąc zmieszanie.

— Miła? — Różnie o tem mówią. Cham jestem — nie? — zapytała Czesławy, patrząc na nią z miłością.

— Jesteś mocna — prosta i szczera — a to u nas nie popłaca.

— Oj, co to, to nie. At! — ucięła raptem i umilkła. Po chwili odwróciła się, a gdy Czesława podeszła ku niej, ujrzała dwie wielkie lśniące łzy, płynące po jej twarzy, pokrytej nagłą bladością.

* * *

Pomiędzy Julkiem i Czesławą zawisła pewna myśl, której żadne z nich nie chciało pierwsze wyjawić. Julek już doskonale wiedział, jak zrobi jej portret — ale zabardzo chciał go malować, żeby nawet o tem wspomnieć zdaleka. Ten lekki półuśmieszek, kiedy z nim rozmawiała, błysk oczu cudownych, niedostrzegalny błysk zębów z po za wpół otwartych malinowych warg, sklepienie otwartego czoła, gorącego od myśli namiętnych, proste uczesanie głowy, prosta suknia. Prawie chłopka. Dziewczyna wiejska. Upajał go ten wyraz. Dziewczyna! Mocna, mądra...

Albo te przesłodkie ściągnięte wargi, czekające pocałunku anioła. Bezbrzeżna słodycz kolorytu tej twarzy olśniewająco zdrowej, gorącej, tych oczu wielkich, w których pęki gwiazd świecą tajemnicą marzeń nawpół świadomych, dziewiczych, przeczystych.

Albo kiedy oparta na łokciu o poręcz werandy stała profilem obrócona, bawiąc się jakąś trawką, stukając pantofelkiem w takt niedbałego nucenia, puszczając wesoło złośliwe słówka.

Albo kiedy stała sama przez nikogo nie widziana, zamyślona, z białą ręką przy ustach. Spódnica jej spływała z pełnych bioder ku ziemi, jak dzwon — była w tem jakaś tajemnica, słodycz bezbrzeżna, te linie sukni prostej, nieozdobnej, spływały po niej, jak muzyka, otulały ją, pieściły, broniły jej... Dziewczyna. Czysta, szlachetna, mądra dziewczyna. Jak płomień ukryty w kielichu lilii. Jak żar słoneczny, kiedy przedziera się przez białe mgły poranku. Jak ogień świecący przez zaróżowione szyby chaty śniegiem pokrytej, przytulnej, wołającej ku sobie zbłąkanego w noc zimową. Tam w tej chacie białej, skromnej, śniegiem ot

lonej, ciepło rozkoszne, upajające po ranach siekącego wiatru w szczerem, pustem polu, wśród niebezpieczeństw walki i burzy. Ta chatka cicha, z pod oka nieśmiało gorącemi oknami patrząca, z niebios przywianą bielą, kryta, żywą krwią pulsująca. Wnidjź, zapukaj. Może drzwi się roztworzą, znajdziesz skarby pół ziemi. Klejnoty cię otoczą, jeżeliś nie ślepy lub podły. Serce znajdziesz anioła, serce, które cię utuli, zamknie cię w uścisku miękkim i mocnym, jak śmierć. Widziałeś skrzydła serca? Widziałeś uśmiechy niewinne, palące, jak zczerwienione żelazo? Drżała ci w ręku biała dłoń, której ucałować nie śmiałeś, bo dusza ci łkała niewidzialnym fioletem płomieni, w niebo bijących...

* * *

Byli na skraju lasu. Tecia leżała na mchu, bawiąc się z psem Bukietem, mądrym i wesołym Cetrem, żółto podpalanym. Czesława siedziała dziś trochę zadumana, prawie naprzeciwko Julka, który malował oddal łąk.

Jakoś się tak dziwnie Julkowi myśli poplątały, że nie wiedział, co maluje. Zaczął drżeć. Nieśmiało, z zapartym oddechem, jął malować Czesławę. Trwało to dość długo. Nikt nic nie mówił.

Gdy się Czesława poruszyła, Julek poprosił ją, już ze spokojnym uśmiechem, żeby nie wstawała. Ona uśmiechnęła się także i przyjęła poprzednią pozycyę. To było tak naturalne! Oboje czuli, że tak właśnie powinno być.

Później Julek odmalował ją we wszystkich pozycyach, o jakich przedtem myślał — i podczas tej pracy zupełnie odsuwała mu się na drugi plan pewna myśl, która teraz wydawała mu się czemś głupiem, niemożliwem. Bo raz przyszło mu do głowy, że ponieważ ton twarzy Czesławy przypominał mu czasem koloryt Jadzi, więc możeby mu ona pozowała do jego obrazu, w oświetleniu świecy, jak umarła... Od razu czuł w tym pomyśle coś cynicznego, co go dziwnie jednak pociągało. Potem zaczynało mu się to wydawać profanacyą wobec Jadzi.. Teraz wreszcie odczuł, że to nie profanacya, ale niemożliwość.

Ale ponieważ nie rozumiał, dlaczego, więc zrobił próbę, wytłomaczywszy Czesławie, o co chodzi, ale już gdy mówił, plątał się, jąkał, ogarnęło go drżenie, strach, wstyd, czy ból nie do zniesienia.

Wreszcie, gdy Czesława układała się już odpowiednio do pozowania, Julek zawołał szybko:

— Nie, nie, nie, niech pani wstanie, to niemożliwe!

Czesława spojrzała zdziwiona.

— Nie! umarła?... Nie, nie, nie chcę! Nie, to niemożliwe!

Zbladł, twarz wykrzywiła mu się, szczęki się trzęsły.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale czuł, że pchają mu się na usta jakieś niepojęte, niesłyszane nigdy upajające wyrazy, nieubłagane wyroki, wydzierają mu się z gardła wraz ze szlochaniem.

Wyszedł szybko. Wpadł do ogrodu. Nieprzytomnie objął pień potężnego świerku, a natrafiwszy na gałąź, wdrapał się na sam wierzchołek i tam, wisząc na kołyszących się gęstych splotach gałęzi, pozostał z godzinę, nie myśląc o niczem, pełen łkań, wołań i nieokreślonego, rozszalałego ucisku i odurzenia w całem ciele. (C. d. n.)



RES.

BIBLIOTECZKA EKONOMISTÓW POLSKICH.

(Fryderyk hr. Skarbek. Ogólne zasady nauki gospodarstwa narodowego. — *Józef Supiński.* Szkoła polska gospodarstwa społecznego. — *Henryk Kamieński.* Filozofia ekonomii materyalnej ludzkiego społeczeństwa*)*.

Pod redakcyą dr. Zofii Daszyńskiej-Golińskiej, a nakładem księgarni M. Arcta w Warszawie, poczęła wychodzić „Biblioteczka dzieł społeczno-ekonomicznych". Serya I wydawnictwa tego obejmuje prace pisarzów polskich, a raczej prac tych esencyę, skrócenie, pozwalające czytelnikowi bez mozołu poznać najważniejsze myśli danego autora. W seryi tej zapowiedziano dziesięć tomików, z których pojawiły się już trzy, wyżej wymienione. Serya II obejmie dzieła klasyczne ekonomistów obcych. Każdy tomik prócz wyciągów z najcelniejszego dzieła, danego ekonomisty, zawiera jego życiorys i krótką ocenę jego prac wraz z ich bibliografią.

Nie potrzeba dowodzić, jak pożytecznem jest to wydawnictwo, zasilające poważnie naszą ubogą naukę ekonomiczną. Wprawdzie „Biblioteczka" obejmuje tylko prace dawniejsze, zaznajamia nas do pewnego stopnia z *historyą* doktryn ekonomicznych, ale właśnie w ekonomii politycznej znajomość jej dziejów jest ważniejszą, niż w jakiejkolwiek innej nauce. Niepodobna dokładnie oryentować się we współczesnej nauce ekonomicznej, nie znając jej dróg poprzednich i jej źródeł; nie można np. ocenić należycie Marksa, nie konfrontując go z klasyczną ekonomią angielską; rozważając teoryę zaludnienia, musimy zająć określone stanowisko wobec Malthusa; mówiąc o rencie gruntowej, nie możemy pominąć Ricardo; chcąc zdać sobie sprawę z zagadnień metodologicznych ekonomii politycznej, musimy sięgnąć do fizyokratów, Smitha, Ricardo, Sismondiego i t. d. i t. d.

W dziejach ekonomii politycznej nauka polska nie zajmuje wybitnego miejsca. Nie możemy w tej dziedzinie poszczycić się ani obfitością przyczynków, ani też ich doniosłością. Nie mieliśmy ani jednego pierwszorzędnego ekonomisty, któryby nauce w tym lub owym kierunku nowe drogi nakreślał. Nie mieliśmy też licznego grona sumiennych pracowników, którzyby gromadzili materyały, badali szczegóły, rozwijali cudze pomysły. Nic w tem dziwnego: nauka

polska wogóle rozwijała się w warunkach niezmiernie trudnych, walcząc z przeszkodami bez liku; nie było tu statecznego postępu, nie było ciągłości, w pochodzie naprzód wciąż były przerwy i zahamowania. Co się tyczy specyalnie ekonomii politycznej, to jej rozwojowi nie sprzyjały inne jeszcze czynniki: zacofanie naszych stosunków gospodarczych, uporczywe trwanie dawnych metod i stosunków w produkcyi i podziale bogactw, słabe tętno życia ekonomicznego — wszystko to nie mogło dawać bodźca myśli badawczej, nie mogło jej zmuszać do stałego wysiłku i wiecznej czujności. Podkreślić też należy, że myśl i uczucie narodowe skierowane były magnetycznie w kierunku zagadnienia *politycznego:* od niego uzależniało się wszelkie szczegółowe zagadnienia społeczno-ekouomiczne. Myśl twórcza bujnie rozkwitła w dziedzinie politycznej; ale dla tych właśnie, którzy rozkwit ten wywołali, dla demokratów polskich, nawet palące sprawy ekonomiczne, na które największy kładli nacisk, więc uwłaszczenie włościan, były nie przedmiotem studyów i dociekań teoretycznych, lecz rzeczą przesądzoną, nieomylną dźwignią *rewolucyjną*, praktyczną sprawą *polityczną* par excellence.

Nie mieliśmy więc oryginalnego, wielkiego systemu ekonomii politycznej ani rozległego pola badań z liczną ciżbą skromnych pracowników. Nie wytworzyliśmy „szkoły polskiej gospodarstwa społecznego", w takiem znaczeniu, w jakiem mówi się np. o francuskiej szkole fizyokratów, o angielskiej ekonomii klasycznej, o historyczno-etycznej szkole niemieckiej itp. Niewątpliwie jednak mieliśmy grono utalentowanych ekonomistów, których szczegółowe poglądy są nieraz ciekawe i godne uwagi. Już dlatego warto ekonomistów tych poznać. Ważniejszy tednak jest inny motyw i pożytek ich poznania: nie tyle teoretyczny, ile *historyczny.* Z jednej strony godny jest uwagi związek ekonomistów polskich z kierunkami myśli ekonomicznej zachodnio-europejskiej, z drugiej zaś — jest związek ze stosunkami krajowymi, z tłem społeczno - ekonomicznem, które mieli przed oczyma. Jest to bardzo ciekawe zagadnienie dla badacza śledzić z jednej strony, jak i jakie teorye zachodnio - europejskie odbijały się w pracach ekonomistów polskich, z drugiej zaś, czyim interesom prace te w kraju służyły, jaki wyraz w nich znajdowało życie krajowe, potrzeby różnych warstw społecznych, warunki chwili.

Po tych uwagach ogólnych, wypada nam jeszcze chociaż pobieżnie, rzucić okiem na prace Skarbka, Supińskiego i Kamieńskiego, stanowiące pierwsze trzy tomiki „Biblioteczki".

Skarbek łączył w swych pracach gruntowną znajomość teoryi ekonomicznej ze zmysłem praktycznym, z dobrem oryentowaniem się w stosunkach krajowych. Jako teoretyka, zaliczyć go wypada do szkoły Smitha, ale nie hołduje on jej bezwzględnie, lecz wprowadza zastrzeżenia, zmiany i poprawki, niekiedy samodzielne, niekiedy pod wpływem innych ekonomistów, np. Sismondiego. Wpływ Sismondiego wyraża się w „etycznej" ocenie pewnych kategoryi ekonomicznych, np. płacy roboczej. Zdaniem Skarbka, dochód z pracy tylko wtedy rzeczywiście istnieje, gdy robotnik otrzymuje nie tylko koszta niezbędnego utrzymania, ale i pewną nadwyżkę; o „wartości pracy" powinien stanowić nie stosunek podaży do popytu, ale „utrudzenie i okazana zdolność". Teoretycznie Skarbek przeprowadza tu, dość bałamutną zresztą i jałową, analogię między dochodem z kapitału (stanowiącym nadwyżkę ponad koszta produkcyi) a dochodem z pracy (który *winien* stanowić nadwyżkę ponad niezbędne koszta utrzymania). Teoretyczna ta analogia stanowi właściwie wskazanie etyczne, z którego jednak Skarbek dalszych wniosków nie wyprowadza.

Skarbek, jak Ricario z jednej, a Sismondi z drugiej strony, nie uznaje bezwzględnej harmonii interesów różnych warstw społecznych. Uważa za zło społeczne, że zysk z kapitału może rosnąć i rośnie często kosztem płacy roboczej i „intraty gruntowej". Nie jest zwolennikiem wielkiego kapitału; przeciwnie upowszechnienie średniego i małego kapitału uznaje za stan najpożądańszy. Przy przewadze wielkiego kapitału „weźmie przemysł narodowy kierunek sprzeczny z pomyślnością pospolitą"; przemysł narodowy rozwija się normalnie, gdy opiera się na dobrobycie rolników i robotników, gdy zyski kapitalistów nie zależą od tego, „że wyrobnicy i właściciele ziemi przynależnych sobie nie pobierają dochodów". Ta nienhęć dla przewagi kapitalistycznej znamienna jest dla Skarbka, jako dla obywatela kraju rolniczego z jednej, filantropa z drugiej strony.

Nie wydaje mi się słusznem uznawanie Skarbka za poprzednika Lista (jak to czyni dr. Daszyńska-Golińska w przedmowie). List przeciwstawiał się ekonomii angielskiej z punktu widzenia rozwoju przemysłu niemieckiego, który cierpiał od konkurencyi angielskiej. Dla niego polityka ceł ochronnych była naturalnym wyrazem hodowli wielkokapitalistycznej, broniącej się od przewagi angielskiej. Natomiast Skarbek, jak widzieliśmy, nie jest wielbicielem wielkiego kapitału. Co się zaś tyczy stosunków handlowych pomiędzy narodami, to Skarbek uważał za ideał „pewien rodzaj podziału przemysłu", przy którym każdy naród wytwarza to, co najlepiej i najłatwiej wytwnrzać może, a nabywa u innych narodów płody, których sam ani tak dobrze, ani tak tanio wytwarzać nie może. Skarbek dodaje, że jest to tylko ideał, ale przeszkodę w jego urzeczywistnieniu widzi we wrogim stosunku państw do siebie, nie zaś w różnicy stopnia rozwoju gospodarczego, jak List.

O Supińskiego „Szkole polskiej" powiemy krótko, że wprawdzie pretensye autora były wielkie i że lubił on podkreślać rzekomą oryginalność swoich poglądów, swojej „Szkoły", ale że w gruncie rzeczy dał rzecz i niegłęboką i nieoryginalną. „Szkoła polska" Supińskiego to pospolita, „wulgarka", jak Marks się wyrażał o tego rodzaju utworach, ekonomia, wzorowana na Bastiace i Carey i ciągle poglądami tych i tym podobnych ekonomistów operująca. Nie możemy też zrozumieć pochwały dr. Daszyńskiej-Golińskiej: „Ujęcie przedmiotu w Szkole polskiej odbiega od wszystkich dotychczasowych systemów i słusznie zeń dumni być możemy, samodzielny bowiem kontynuator uczyni ją kiedyś niewątpliwie podstawą głębokiego ekonomicznego systemu". Ciekawiśmy doprawdy, jaki „głęboki „system" wywinie się z takich oto „odkryć" Supinskiego: „Świat boży, dzieło Stwórcy, istnieje *darmo;* bo Bóg, powtórzmy, dzieł swoich nie przedaje" — albo z usprawiedliwienia nizkiej płacy roboczej tem, że robotnik mało posiada w sobie *„użyteczności wypracowanej*, zatem *wartości* społecznej", że jest to jakgdyby człowiek pierwotny, który „odstępuje na rzecz innych środki przywiązane do jego fizycznego jestestwa, a odstępuje, bo ma sąd i wolę" w zamian za to, „Co

kami temi mógłby sam zdobyć w świecie fizycznym, pierwotnym". A cały „system" Supińskiego to taka płytka i pretensyonalna, chociaż barwna i gładka, gadanina.

Bardzo ciekawą rzeczą jest Kamieńskiego „Filozofia ekonomii materyalnej". Henryk Kamieński należał do tych nielicznych naszych demokratów emigracyjnych, którzy gruntownie przetrawili ekonomiczną krytykę i postulaty ówczesnego socyalizmu. Najgłębszy wpływ na Kamieńskiego wywarła szkoła Saint-Simona; na Saint-Simonizmie z jednej, na filozofii niemieckiej z drugiej strony, opiera się pogląd historyczno-filozoficzny Kamieńskiego na społeczeństwo. Pogląd ten to usiłowanie skojarzenia aprioryzmu z „historyzmem", bezwzględnych, wieczystych zasad społecznych ze zmiennością, względnością danego „momentu", danego okresu społecznego. Społeczeństwo jest dla Kamieńskiego urzeczywistnieniem jedności, a tem samem i sprawiedliwości, pośród ludzi. Ale urzeczywistnienie tej jedności i sprawiedliwości podlega ciągłemu postępowi, ciągłemu udoskonaleniu. Postęp nie zależy od walki sprzecznych zasad (tak Kamieński utrzymuje wbrew Heglowi), ale jest rozwijaniem, doskonaleniem tej samej zasady: jedności między ludźmi. Każdy ustrój społeczny odpowiada pewnym warunkom i potrzebom; utrzymuje się i jest sprawiedliwy, póki odpowiada dobru powszechnemu, woli powszechnej. Każdy okres społeczny „w stosunku do przeszłości jest sprawiedliwym i postępem koniecznym, względnie zaś przyszłości swojej niesprawiedliwym — bo mniej wykształconym i wyglądającym dopiero niepochybnego postępu". „Układ społeczny, oparty na zdobywaniu i utrzymywaniu ludzi w niewoli, jest postępem względem ludożerstwa lub wymordowania słabszego nieprzyjaciela. Postępem zaś układu społecznego, opartego na tej pierwotnej niewoli, jest niewola gruntowa..., w miejsce nieograniczonej, poprzednio panującej dowolności". Nie należy jednak wnosić z tych poglądów, że Kamieński zbliża się do materyalizmu marksowskiego. Przeciwnie, jego pogląd jest czysto idealistyczny: idea jedności kształtuje społeczeństwo, postęp zależy od doskonalenia tej idei, stosunki przeżywają się, gdy nie odpowiadają już woli powszechnej, postępy materyalne, panowanie człowieka nad przyro[illegible]ą skutkiem doskonalszej jedności między ludźmi, funkcye polityczne, — „wiedzowe", jak wyraża się Kamieński, to jest świadome, kierownictwo — kształtuje funkcye materyalne.

Jedność między ludźmi nie przeczy indywidualności, „społeczeństwo jest syntezą" wszystkich indywidualności. Własność, jako udział jednostek w powszechnem bogactwie, jest rzeczą konieczną; tak samo podział pracy i wymiana usług. Ale wszystkie te stosunki, w zasadzie konieczne, zmieniają się w swoim kształcie i żadnego danego „momentu" własności czy wymiany nie należy uważać za wieczny. Własność, kiedy staje się wyłączną, kiedy służy tylko niektórym ludziom, przeczy powszechnemu dobru, przeczy doskonalszej jedności między ludźmi; tak samo wymiana usług, kiedy przeradza się w „wyzyskiwanie człowieka przez człowieka" (termin, jak wiadomo, Saint-Simonistowski). Istnienie proletaryatu klasy, nie mającej dostępu do własności narzędzi pracy, klasy, której odmawia się przyrodzonego „prawa do pracy", dowodzi, jak niedoskonałe są stosunki współczesne. Doskonalsza jedność między ludźmi wymaga, żeby kapitał nie był monopolem, i żeby wszyscy mieli „prawo do pracy". Leży to w interesie całego społeczeństwa, które przez to wzniesie się na wyższy szczebel produkcyjnej pracy. Interes wzajemny ludzi prowadzi do *spółki*, w której podział dóbr stosuje się do zasług (również formuła Saint-Simonowska). „Funkcye polityczne" powinny w tym kierunku działać, gdyż ich zadaniem jest „uświęcać dobrze zrozumiany wzajemny interes" i występować przeciwko temu „pojedyńczemu interesowi, który wyraża jednostronną dowolność". Natomiast nie jest rzeczą „funkcyi politycznych" wprowadzać komunizm, czyli wspólność, opartą na podziale stosownie do potrzeb, gdyż znaczyło by to *gwałcić* interes jednostek. Komunizm może się urzeczywistnić nie przez pogwałcenie interesów prywatnych, co byłoby rzeczą niemożliwą i nienaturalną, ale przez „naturalne ich zniknięcie", przez rozpłynięcie się ich na wyższym poziomie rozwoju duchowego w interesie powszechnym, przez dobrowolne wyrzeczenie się własnego interesu dla dobra ogółu.



SILVA RERUM.

[...]ŻYWI NIE TRACĄ NADZIEI! Z polskiej Go[...] [...]nej od wieków kośćmi naszych męczenników, otrz[...]smy list, którego niepodobna czytać bez głębokiego roz[...]rzewnienia.

DO SZANOWNEJ REDAKCYI „ŻYCIA"
WE LWOWIE.

Uprzejmie prosimy o łaskawe umieszczenie w swem poczytnem piśmie tych kilka słów, płynących z serca:

Przyjaciołom i Towarzyszom, którzy nie ustają w Walce, ale pracą swą i poświęceniem dążą ku wzniesieniu Światła Wolności, szlą z dalekiej ziemi Sybirskiej serdeczne życzenia Noworoczne.

Kirensk Irkuckiej gub. 4 XII. 1911 r.

Zygmunt Rachwald, Paweł Ressle, Ignacy Poznański, Bolesław Ekstowicz, Władysław Orzechowski.

WSZYSTKIM CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM naszym sz. ny przy zmianie roku serdeczne życzenia lepszej, jaśniejszej przyszłości. Oby nadchodzący rok zbliżył nas do ziszczenia ideałów, które każdy pieści w swej duszy a które streszczają się w wolności narodu i szczęściu ludzkości.

Oto jego dosłowne brzmienie:

TRZECI ZJAZD Stowarzyszeń Polskiej Młodzieży postępowo-niepodległościowej obesłany bardzo licznie, przy udziale delegatów ze Lwowa, Wiednia, Paryża, Brukseli, Loodyum, Genewy, Tuluzy i młodzieży postępowo niepodległościowej krakowskiej, zebrany w Krakowie na posiedzeniu inauguracyjnem 26. grudnia b. r., otworzył pięknem i podniosłem przemówieniem przedstawiciel P. P. S. obywatel Piłsudzki. Pokrótce streścił dzieje haseł, jakie dziś łączą Młodzież postępową i niepodległościową. Do czasów ostatniego powstania, socyalizm i niepodległość związane były nierozdzielnie i nierozdzielnie występowały, tak w imię ludu pracującego, jak w imię ludowej Polski. Zmieniły się czasy dopiero po ostatnim wybuchu 1863 r. Wówczas to, pozytywizm warszawski i praca organiczna posiały rozdźwięk w szeregi postępu, różnicując jego hasła.

Rozdźwięk ten był tak doniosły, że w końcu Polacy nie konserwatywni, nie ugodowi, nie pochłonięci fermentami narodowej fobii, znaleźli się, jakoby na rozdrożu. Na jednej drodze utracisz głowę, na drugiej utracisz serce — zdawały się mówić radykalnie pojęte zagadnienia owych czasów. P. P. S. usilną pracą starała się zasypać ów rozdźwięk tragiczny między socyalizmem i sprawą miłości Ojczyzny. Czyniła to wysiloną pracą, uświadamiającą i nietylko pracą, bo także czynem walki, trupami poległych bohaterów.

Do pojednania tych haseł „postępu i niepodległości" przyczyniła się praca P. P. S., oparta, wzmocniona rozwojem wszechświatowego socyalizmu. Albowiem pomiędzy socyalizmem dawniejszym i takim, jaki dziś w życie wchodzi, zaszły daleko idące zmiany.

Dziś — twierdzi mowca — nie jest socyalizm jakoby młodzieńcem, nie liczącym się z twardą rzeczywistością, bezsilnym w swej sile, gdy idzie o miłość Ojczyzny. Dziś zżył się on z każdym krajem i z każdym jego bólem. Dziś wszedł w głąb życia, do zasadniczych zagadnień kultury ludowej, która z istoty swej jest zawsze narodową. Dziś więc — kończy szanowny mowca — wszędzie tam, gdzie socyalizm szczerze wniknął w życie, gdzie jest żywotny i twórczy, stał się narodowym. Młodzież niepodległo-postępowa dzisiejsza, dzięki przebytemu już procesowi dojrzewania tych dwu haseł, w nierozerwalnej ich wspólnocie, na rozdrożu się nie znajdzie, a imać się może konkretnej pracy.

Po ob. Piłsudzkim, imieniem P. P. S. D. zabrał głos redaktor Hecker, wzywając młodzież, póki chwila bohaterskich wysiłków, w imię niepodległości, ostatecznie nie powoła, do wytężonej pracy w kierunku organizacyi, do nauczenia się ciężkiej, szarej, powszednej pracy dla społeczeństwa.

Następnie imieniem swych grup, witali zjazd poszczególni delegaci.

Z RAPTULARZA.

WOJNA WŁOSKO-TURECKA toczy się dalej bez rezultatu. Obie strony zajęły pod Ain-Zarą silne pozycye. Zarówno ataki włoskie na pozycye tureckie jak i przeciwnie zostały odparte. Obie strony podają widocznie tendencyjnie straty swoje i przeciwnika.

ZABÓR PERSYI. Bez jakichkolwiek pozorów prawnych wtargnęła silna armia rosyjska do Persyi. Rząd perski ugiął się i przyjął wszystkie warunki rosyjskie; parlament rozwiązano, Morgan Shuster otrzymał dymisyę. Nie tak łatwo idzie wojskom rosyjskim z ludnością. W Tebrysie stawiło 10.000 Persów, Ormian i Żydów zorganizowanych w bojówki 8000 oddziałowi rosyjskiemu zaopatrzonemu obficie w artyleryę bohaterski opór. Moskale bombardowali miasto, zostali jednak po całodziennej walce ulicznej wyparci. Pet. ag. oblicza straty rosyjskie na stu ludzi, niemieckie depesze podają 150—200 zabitych po stronie rosyjskiej. Wojska carskie prowadzą wojnę po włosku, mordując kobiety i dzieci. Liczne posiłki rosyjskie są w drodze do Tebrysu, tak, że o rezultacie walki powątpiewać nie można. W południowej Persyi przyszło do starć z Anglikami, przyczem zaginął konsul angielski.

POŻYCZKA AUSTRYACKA w Paryżu napotyka na trudności, głównie dzięki agitacyi pism związanych z rosyjską ambasadą. Austrya zamierza przez miliardową pożyczkę uregulować opłakane swoje finanse. Była to cena za którą zostawiła na lądzie Prusy w konflikcie marokkańskim.

NOWE KSIĄZKI.

Klein Franciszek: Planty krakowskie. Wydawnictwo Towarzystwa ebrony piękności Krakowa i okolicy. Odbito w drukarni „Czasu" 1911.

Cieplński Czesław; Przemiany. Wydaw. Friedleina 1912.

Jellenta Cezary; Grający szczyt. Wyd. Krzyżanowskiego, Kraków 1912.

Krakowski Miesięcznik artystyczny (recznik 1911 r.). Organ poświęcony sprawom Muzeum narodowego; Tow. przyj. sztuk pięknych i Tow. upiększenia M. Krakowa.

Zbierzchowski Kazimierz: Opoka. Powieść. Wyd.

Wasilewski Zygmunt: W obronie polskiej stacyi zagranicznej. Sprawa Rapperswilu w świetle publicystycznem. Lwów 1911 r.

Huskowski Jan: W płomienisku. Nakł. Połonieckiego. Lwów 1912 r.

„ŻYCIE" wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	? kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 h.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Nakładem Spółki wydawniczej.

Redaktor odpowiedzialny: Aleksander Nawrock[...]

...KARNI „WIEKU NOWEGO". LWÓW, KRZYWA 8. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART...